Cena numeru 10 zł.

RÓZGI
BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II | 2 marzec 1947 | Nr. 10 (30)



Rys. KAZIMIERZ GRUS

— Podobno darowują kary pozbawienia wolności... Franiu, czy mogę przeczytać?

— Ani mi się waż! Ciebie to nie dotyczy!

LUDWIK JERZY KERN

AMNESTIA

Chciałem z amnestii skorzystać,
ujawnić się, wyporządnieć,
żeby mógł (rzecz oczywista)
pożytek ze mnie mój rząd mieć.

Chciałem nie pisać na teatr,
na swary i gzy ustawiczne,
lecz zająć się sobą i dzieła
tworzyć intymno-liryczne:

o kotkach, co zaczną za tydzień,
o mojej najnowszej, miłości,
o tym jak w bridge'u mi idzie
i czy pieniędzy mam dość i

chciałem swym wrogom przebaczyć
i brudzia przepijać do rana
i chciałem przestać tłumaczyć,
że film to jest rzecz zakazana,

z biurokratami też chciałem
pogadać bez uprzedzenia
i prawie pół życia dawałem,
by nie mieć podejrzeń cienia.

I chciałem... chciałem. Lecz na tym
koniec, bo los rozwarł toń złą:
wiedziałem, gdzie zdawać armaty,
a nie wiedziałem, gdzie broń swą.

Nie przewidziano, niestety,
tego co było najprostsze:
nic nie mówiły dekrety,
gdzie składać satyry ostrze.

Więc muszę z tą bronią po świecie
błąkać się mając nadzieję,
że wreszcie po jakimś dekrecie
przestanę, wyp(r)orządnieję...

* * *

Przyznaję z niejakim zawstydzeniem, iż nie zastanawiałem się nigdy nad tym, „jak bardzo cierpi ryba, której się nie zabija, lecz, którą się wyjmuje z wody i czeka, aby usnęła".

Nie przyszło mi również na myśl, że istnieje grupa osób „która żywe ryby skrobie nożem i jeszcze żywe rzuca na gorącą patelnię".

Uwagę moją na te karygodne praktyki ściągnęła dopiero wzmianka ob. Zgierskiej („Dziennik Bałtycki"), stwierdzającej z całym naciskiem, że:

1-o ryby „to grupa najbardziej męczona i cierpienia której nie są rozumiane przez ogół społeczeństwa";

2-o ryba „to także stworzenie Boże, które cierpi i znosi bóle tak jak człowiek, będąc o tyle w gorszym położeniu, że się nawet nie może poskarżyć na ból".

Jestem zdania, iż szlachetna ob. Zgierska ma niewątpliwie słuszność potępiając okrutników, przyrządzających przy pomocy tortur karpia fritè lub szczupaka sauté. Uważam także, że nie jest rzeczą przypadku, iż ustawa amnestyjna, będąca wyrazem szczerej woli obozu demokratycznego do usunięcia rozdźwięków w społeczeństwie — nie obejmuje dobrodziejstwem swoim zbrodniarzy, którzy ryby „usypiają" lub „żywe skrobią nożem".

Nie o to jednak mi chodzi. Ostatecznie konsumuję jedynie nienagannie sprawione uliki kartkowe i nie mogę ponosić odpowiedzialności za cierpienia „grupy nie rozumianej przez ogół społeczeństwa". Interesuje mnie natomiast sytuacja człowieka i jego „o tyle lepsze położenie", iż może się poskarżyć.

Na co? Naprzykład na to, że na pewnej wyspie, do której wzdycha ją nasi malkontenci, kwalifikuje się pozostających tam dotąd Polaków jako bydło robocze, stwierdzając ich przydatność wyłącznie do górnictwa, pracy na roli i czynności porządkowych (do odgarniania śniegu).

Zgłosiłbym żal, powiedzmy, do dżentelmena Churchilla, który w ostatnim swoim przemówieniu wyraził gorące życzenie, aby emigrantów naszych zatrudniono przy odbudowie Wielkich Niemiec. Jeżeli bowiem kombatanci spod Monte Cassino, Tobruku czy La Falaise są tak obecnie uciążliwi dla W. Brytanii, czemu się tak uporczywie utrudnia im powrót do kraju, przetrzymując ich gwałtem w angielskiej legii cudzoziemskiej, zwanej eufemistycznie Korpusem Przysposobienia i Rozmieszczenia?

Niepodobna również nie zabrać głosu, gdy w grze rozwój wypadków na terenie okupowanej przez Anglię i USA — Rzeszy. Te wypadki same po Niemcach nie chodzą. To, że Schumacher, że Loritz, że Loebe, że Severich czy Kuelz — to, naturalnie, sprawa pleców. Ameryka zwłaszcza, która workami złota niemieckiego zaspokoiła całkowicie swoje pretensje wojenne, nie czuje się w obowiązku przeszkadzać hasłom: „precz z reparacjami dla Polski i Rosji" lub „ani piędzi ziemi na wschód!"

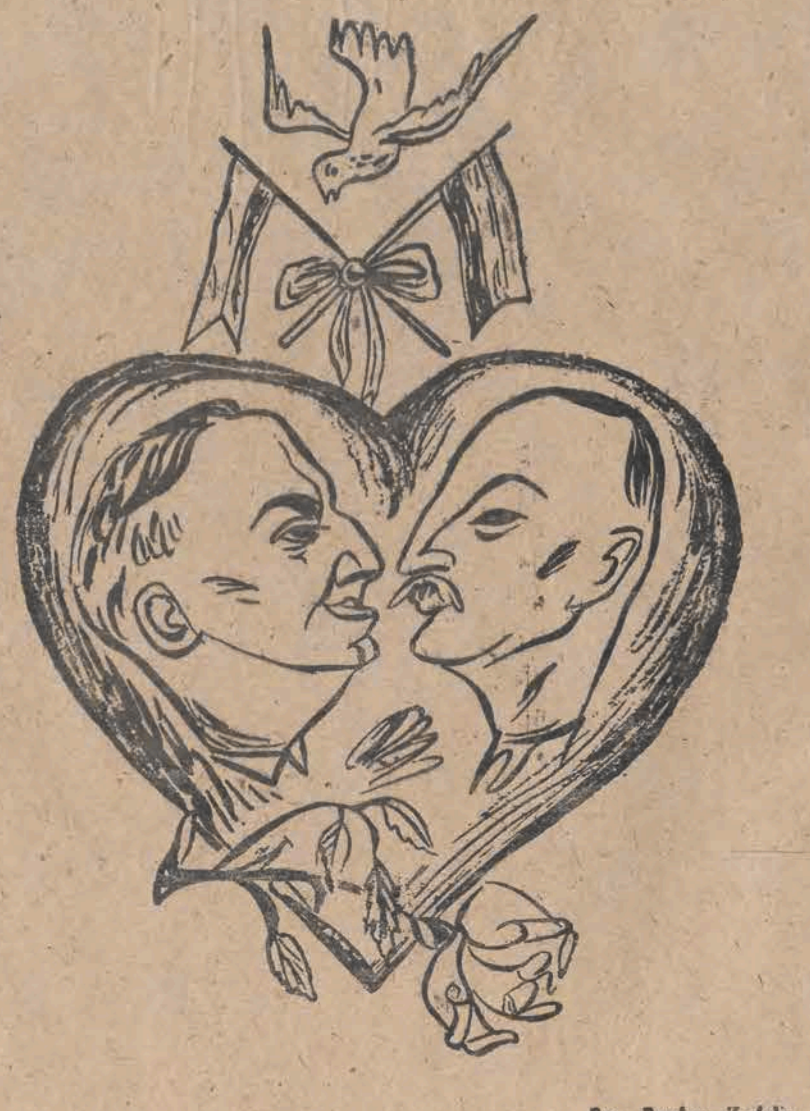
Nieładne to i niemoralne stanowisko. Bez cienia zrozumienia dla udręki krajów, które w czasie ostatniej wojny były przez Niemców „skrobane nożem i rzucane żywe na gorącą patelnię".

Dlatego też korzystając z „o tyle lepszego położenia", stanowiącego przewagę naszą nad rybami, pozwalamy sobie rzucić pod adresem różnych tam Achesonow te słowa przestrogi:

„Panowie dyplomaci, wy się źle bawicie,
dla was to jest igraszka, nam chodzi o życie!"

Stefan Stefański

W ZWIĄZKU Z ROZMOWAMI BIDAULT- MODZELEWSKI NA TEMAT WZNOWIENIA SOJUSZU POLSKO-FRANCUSKIEGO



Rys. Regina Kańska

STARA MIŁOŚĆ NIE RDZEWIEJE

BOGDAN BRZEZIŃSKI

ZNAWCA DOWCIPÓW

Gdy pan Jan Nepomucen Bączek skończył opowiadać dowcip, towarzystwo przy stole wybuchnęło śmiechem.

— Zna pan kapitalne dowcipy! — pochwalił pan domu.

— Świetne! — dodała pani.

— Rzeczywiście, istotnie! — wtrącił wujek domu — Bo ja to, panie dobrodzieju, głowy do dowcipów nie mam... Sporo się ich słyszy, ale zaraz wietrzeją z tego — z głowy!

— O, ja mam wspaniałą pamięć do dowcipów, proszę państwa! — przyznał nie bez dumy pan Bączek — Można powiedzieć, że znam wszystkie!

— To niech pan jeszcze jaki opowie! — poprosiła córka domu.

— Chętnie! Ale gdybym chciał opowiedzieć wszystkie, jakie znam, to musielibyśmy siedzieć przy tym stole przynajmniej dwa lata! He, he!

— He, he... roześmiał się bez przekonania pan domu, który szybko skalkulował w głowie, że jeśli towarzystwo posiedzi przy stole nie dwa lata, lecz dwie godziny — to wyżłopie mu całą wódkę i zeżre wszystkie zapasy.

Po czym dodał skwapliwie:

— Może teraz przejdziemy do drugiego pokoju na kawkę i karcięta?

Ale dowcipniś zaprotestował:

— Chwileczkę, proszę pana. Jeszcze opowiem znakomity kawał o słomianym wdowcu, który —

W tym momencie przerwał mu pan Hipolit Knotek:

— Przepraszam najmocniej, może dla odmiany ja opowiem dowcip. Pan już opowiedział ze dwadzieścia.

— Proszę bardzo — odparł lekko urażony pan Bączek — ale uprzedzam pana, że ja znam wszystkie dowcipy!

— Otóż proszę państwa — zaczął pan Knotek — spotkali się dwaj wariaci...

— Dowcipów o dwóch wariatach znam z pięćset! — mruknął z lekceważeniem Jan Nepomucen.

— Hm, tego... Otóż ci dwaj wariaci poszli do restauracji na obiad...

— Dowcipów o dwóch wariatach w restauracji znam przeszło 200 — wtrącił z ironicznym uśmiechem Bączek.

— Możliwe, ale moi wariaci zażądali śledzia...

Pan Bączek machnął ręką.

— To co, że śledzia? Dowcipów o dwóch wariatach w restauracji, którzy zażądali śledzia, znam blisko sto!...

Pan Knotek zaczął się wyraźnie denerwować.

— Proszę mi nie przeszkadzać! Ja panu nie przerywałem, kiedy pan opowiadał!

— Proszę bardzo. Tylko dla porządku zaznaczyłem, że to stary kawał!

— Wcale nie stary!

— No, no zobaczymy... Niech pan opowiada dalej!

Pan Knotek napił się łyk piwa i ciągnął dalej!

— Gdy kelner podał śledzia, jeden z wariatów wziął go w dwa palce za ogon...

— Kogo? — przerwał Jan Nepomucen.

— Jakto kogo? Wiadomo, że śledzia! Chyba mówię wyraźnie!

— Właśnie, że niezbyt wyraźnie. Ktoś mógłby pomyśleć, że kelnera.

— Proszę nie przerywać! — denerwował się pan Knotek — Więc tego.. Wziął za ogon i rryms nim o podłogę!

— Takich dowcipów z ciskaniem śledzi znam przeszło dwadzieścia — mruknął lekceważąco pan Bączek.

Narrator spojrzał na niego z nienawiścią i mówił dalej:

— Potem podnosi śledzia i znów go rzuca na podłogę!

— Ile razy rzucił? — spytał pan Bączek.

— Trzy razy.

— Trzy? To takich dowcipów znam tylko piętnaście!...

Pan Knotek zatrząsł się z gniewu, ale usiłował się opanować. Nalał sobie kieliszek wódki, wypił łapczywie i powiedział:

— Wtedy ten rzucający wariat mówi do drugiego: „Wiesz, ten śledź musi być fałszywy..."

— O fałszywym śledziu znam dziesięć dowcipów... — bąknął Jan Nepomucen.

Pan Knotek pobladł gwałtownie, zgrzytnął zębami i powiedział:

— „Dlaczego jest fałszywy" — spytał drugi wariat — „Bo zupełnie nie ma dźwięku!" — odparł z powagą pierwszy.

Goście zaśmieli się półgębkiem, a pan Bączek oświadczył głośno:

— Teeek.. Takich dowcipów znam tylko trzy!...

Wtedy stała się straszna.

Pan Knotek błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni rewolwer i strzelił do pana Bączka!

Jan Nepomucen bez jęku zwalił się z krzesła.

Knotek podbiegł do niego i krzyknął strasznym głosem:

— A takich dowcipów, w których wyprowadzony z równowagi facet, opowiadający dowcipy, strzela do zarozumiałego dowcipnisia — ile znasz, ty łajdaku, co?!

— Dwa wyszeptał Jan Nepomucen

— Jakto dwa? To niemożliwe! Przecież już byś nie żył!

— Za pierwszym razem facetowi zaciął się rewolwer.. — wyjaśnił szeptem pan Bączek i powiększył grono aniołków.

PREZYDENT M. ŁODZI, KAZIMIERZ MIJAL, ZOSTAŁ POWOŁANY DO WARSZAWY NA WYŻSZE STANOWISKO



Rys. Karol Baraniecki

„...jam gołów ci życie poświęcić!"

MARIAN PIECHAL

RÓZNICE

ja chcę wszystkiego — on nic nie chce,
ja wierzę w naukę — on w kabałę,
ja w siły własne — on w protekcje,
ja w rzeczy śmiałe — on w zuchwałe,

ja mam pragnienia — on ma żądze,
ja problematy — on poglądy,
ja mam idee — on pieniądz,
ja przekonania — on przesądy,

ja wiem co nędza — on co braki,
ja jestem chłodny — on jest krewki,
ja piję wódkę — on koniaki,
ja znam kobiety — on kurkiewki,

ja lubię ciastka — on pomadki,
ja wodę zwykłą — on selcerską,
ja chwalę książki — on okładki,
ja myśl autorską — on zecerską,

ja wolę raki — on homary,
ja sól attycką — on karlsbadzką,
ja składam wiersze — on dolary,
ja z miną skromną — on z junacką,

ja głoszę prawdę — on banały,
ja w sposób prosty — on podniosły,
ja lubię dowcip — on kawały,
mnie lubią ludzie — jego osły,

ja mówię serio — on na żarty,
ja żyję myślą — on orderem,
ja gram na lutni — on gra w karty,
ja jestem cyfrą — a on zerem.



Rys. Stanisław Cieloch

ELEMENTARZ

Napisał WŁADYSŁAW SMÓLSKI Ilustrował KAZIMIERZ GRUS

SATYRYK IDZIE NA SPACER

Wyszedł satyryk na spacer w samo południe. Wszyscy po biurach, po urzędach — pracują, tylko on nic nie robi. Laseczką się podpiera, a spod okularów patrzy surowo. Myśli: komu by tu dojechać?

Wyszedł z Domu Literatów: tuż obok postój dorożek. I wnet poczuł jeden z dorożkarzy, że ma zanadto czerwony nos, a drugi, że fizjonomię bandyty. Nawet koń zwiesił głowę, bo poczuł, że ma końską twarz pewnego aktora. A satyryk zadowolony. Idzie dalej. Myśli: komu by tu dojechać?

Nie przepuści żadnemu z przechodniów. Idzie facet i już czuje, że ma gębę szabrownika. Idzie panienka i już czuje, że ma zeza, dwie lewe nogi i w ogóle nie panienka. Idzie dziecko z teczką ze szkoły i już czuje, że nieślubne i obciążone dziedzicznie. A satyryk zadowolony. Idzie dalej. Myśli: komu by tu dojechać?



Wyszedł na Piotrkowską. Patrzy — zbiegowisko. Bije się dwóch pijanych przyjaciół po gębach. A tłum zachwycony klaszcze i woła: dalej go! Nagle wytrzeźwieli pijani, rozbiegł się przerażony tłum. Czy to milicja? Nie, satyryk nadchodzi. Już wiedzą, że z nich będzie felieton.

Wchodzi satyryk do sklepu spożywczego. Aż podskoczyły towary na półkach. Wędlina, że w dzień bezmięsny leży pod ladą, konserwy, że skradzione z UNRRY, ciastka, że na końskim smalcu, a gospodarz, że był konfidentem gestapo i zbił forsę na rabowaniu rzeczy podczas „powstania". A satyryk zadowolony. Wyszedł ze sklepu, idzie dalej. Myśli: komu by tu dojechać?

Wszedł do sklepu z galanterią. I czują już materiały, że za drogie, koszule, że się zbiegną po pierwszym praniu, swetry, że z pokrzywy, a gospodarz, że robi kombinacje z materiałami na przydział. A satyryk wyszedł ze sklepu zadowolony. Idzie dalej. Myśli: komu by tu dojechać?

Wsiadł satyryk do tramwaju. Czują wszyscy, że niedobrze. Ci, co na tylnej platformie, że nie wchodzą do środka, aby jechać bez biletu, i zawalają wejście. Ci, co w środku wozu, że nie wchodzą pomiędzy ławki, nie przechodzą do przodu i w ogóle — stado baranów. Jakaś kobiecina poczuła, że się nie myła już od trzech miesięcy, a facet, że po pijanemu depce po nogach jak słoń. A satyryk zadowolony. Wysiadł z tramwaju, idzie dalej. Myśli: komu by tu dojechać?

Idzie satyryk przez Aleje. Siedzi na ławce parka. Tulą się do siebie, a on ręką bada twardość jej biustu. I nagle zadrżeli oboje. Czują, że z nich będzie fraszka. A satyryk zadowolony, idzie dalej. Myśli: komu by tu dojechać?

Wszedł satyryk do urzędu. Już go tu znają. Woźny pobladł: poczuł, że pijany w czasie służby. Lęk przeleciał po wszystkich piętrach. Drżą urzędnicy. Jedni, że biorą łapówki, inni, że lekceważą pracę, że się spóźniają i źle załatwiają interesantów. Dyrektorzy, że robią protekcję i żyją z sekretarkami, a sekretarki, że zdradzają dyrektorów z referentami. Słowem — klęska. Aż główny dyrektor wpadł na pomysł i dzwoni do Urzędu Kontroli Prasy:

— „Obywatelu naczelniku — błaga — zaklinam was w imieniu całego personelu, zakażcie pisać satyrykowi, albo go przepędźcie, gdzie pieprz rośnie. Złośliwości jego nie ma granic. Żyć nam nie daje.

A na to naczelnik:

— Niestety — powiada — satyryk to dla demokracji „persona grata". Gdyby nie on, tobyście jeszcze więcej brali łapówek, żyli z maszynistkami, spóźniali się do biura i jeszcze gorzej załatwiali interesantów.

A satyryk zadowolony. Wyszedł z urzędu, idzie dalej. Myśli: komu by tu dojechać?



A tu słonko pięknie świeci. Spojrzał na nie satyryk i nagle poczuło słonko, że są na nim brzydkie plamy. Rozgniewało się słonko i mówi do satyryka.

— Ach ty — powiada — niewdzięczny, to ja cię ogrzewam, daję ci światło, rodzę dla ciebie chleb, owoce, kwiaty, opalam cię w lecie na plaży wraz z przyjaciółką, a ty mi nie mogłeś wybaczyć tych kilku plam?

Zdjął satyryk kapelusz, ukłonił się pięknie słonku łysiną i powiada:

— Wybacz, słoneczko, doprawdy przesadziłem z tymi plamami. To tylko z satyrycznego przyzwyczajenia. Nigdy już więcej o nich pisać nie będę. Ale tamtych wszystkich póty będę obrabiał na perłowo, aż z nich porobię dobrych obywateli. Dixi.

JÓZEF PRUTKOWSKI

BLIŹNIAKI

U nas w domu było bardzo śmiesznie,
Kiedy przyrost był w w naszej rodzinie,
Ja z bratem urodziłem się równocześnie
Tego samego dnia i o tej samej godzinie.

Mama krzyknęła z przerażeniem: Boże!
Dwie krople wody! Jednakowe miny!
Tatuś był w trochę lepszym humorze:
— Jakoś to będzie, jakoś rozróżnimy.

Lecz nie rozróżnia wcale tata z mamą,
Od kilku lat już napróżno się głowi,
Bo ja i Oleś wyglądamy tak samo,
Oba! jesteśmy całkiem jednakowi.

Lecz los postąpił ze mną nieuczciwie,
A do Olesia ciągle się uśmiecha
Dlatego Oleś żyje od dziecka szczęśliwie
A ja, jego bliźniak, mam strasznego pecha.

Widzicie? Spuchnięta noga
Boli i goi się źle.
To Oleś drażnił buldoga
A buldog pokąsał mnie.

Oleś zjadł dwanaście gruszek
Ja zaś zjadłem tylko dwie,
Olesia rozbolał brzuszek
A rycynus dali — mnie.

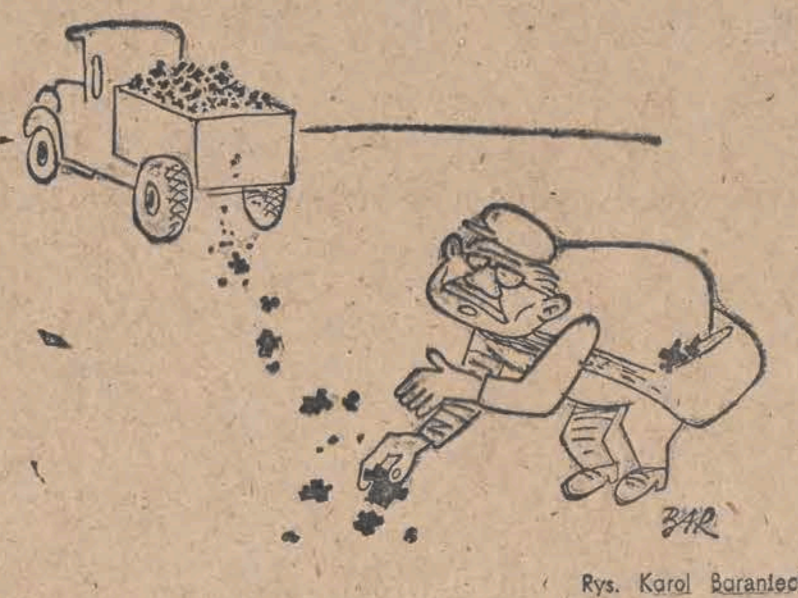
Aż wyrosłem, zakochałem się,
Serce-m rzucił jej do stóp.
Zaręczałem się, zaręczałem się...
A Oleś? No, wziął z nią ślub.

Urząd Mieszkaniowy widział
Cierpliwości mojej plon:
Po roku dostałem przydział,
Lecz mieszkanie dostał — on.

Więc na los patrzę z odrazą,
Bo tak może skończyć się:
On umrze pewnego razu,
A do grobu złożą mnie,

Lecz na razie jeszcze dyszę,
Nie jest ze mną całkiem źle,
Za wiersze co Oleś pisze
Wy oklaskujecie — mnie,

W ANGLII ŚNIEŻYCA : BRAK WĘGLA



Rys. Karol Baraniecki

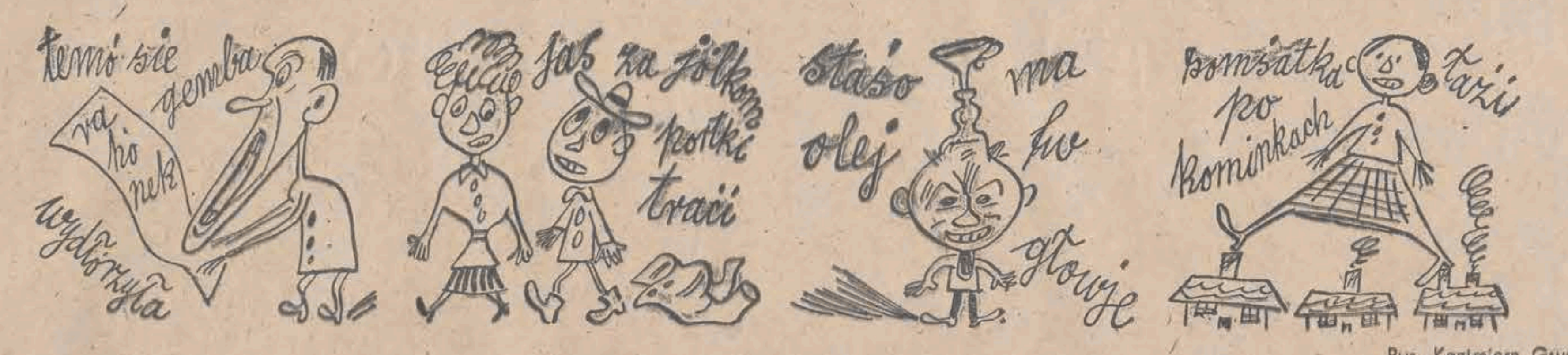
Czarne na białym

ARGENTYNA PRZYJMIE 10.000 ANDERSOWCÓW (z prasy)



Rys. Karol Baraniecki

Handel żywym towarem



Rys. Kazimierz Grus

JAN HUSZCZA

Z puścizny poetyckiej Kaliksta Łasiczki

Przed paroma miesiącami w jednym z poważnych tygodników naszych udało się wydrukować sześć wierszy nieodżałowanego Kaliksta Łasiczki. Wszyscy ze smutkiem myśleliśmy wówczas, że to są jedyne utwory, jakie ocalały. Na szczęście, okazało się, że tak nie jest. Niedawno bowiem został przeze mnie zatrzymany za połę fraka Kocio hr. Boncz-Zbrujewicz w chwili, gdy z walizką w ręku usiłował nielegalnie przekroczyć granicę. W walizce tej, wśród innych bezcennych przedmiotów, znaleziono również znaczną ilość manuskryptów św. p. Łasiczki. Między innymi dziesięć jak ich autor nazwał — czterowierszy. Po zaopatrzeniu w trzy odsyłacze, oddaję je z niekłamaną satysfakcją do druku, pozwalając sobie jednocześnie powtórzyć to, co napisałem w przedmowie do poprzednich sześciu wierszy:

„Na pozór tak mało zostawił po sobie mój serdeczny przyjaciel, św. p. Kalikst Łasiczka, prokurent firmy „Kwiatkowski i S-wie"..: 1/2 kg: szpagatu, jeden gors miękki, siemię lniane dla kanarka, mydełko toaletowe „Malta"; płaszcz reglanowy i pułapka na świerszcze — to prawie wszystko.

A jednak wśród tych skromnych pamiątek, które częściowo trafiły do mnie, częściowo zaś do rąk jego niewiernej żony, Heleny, znalazł się również kajet, zawierający nietylko miesięczne sprawozdanie finansowe z działalności w firmie, ale i wiersze.

Pozostawiając fachowcom szczegółową analizę i ocenę tych wierszy, zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jak bardzo zasługują na uwagę inteligentnego czytelnika

To też wywiązuję się z obowiązku, jaki zaciągnąłem wobec przyjaciela (przyrzekłem mu druk jeszcze w 1945 roku!) i podaję je, aby ujrzały światło dzienne, to światło, którego już nie ujrzą przysypane ziemią oczy zmarłego.

Kalikst Łasiczka zmarł prawie nagle na niestrawność z powodu odgrzewanych buraczków duszonych. Nawet na łożu boleści myślał nie o sobie, lecz o najbliższych i ostrzegał: „Nie jedźcie nigdy odgrzewanych buraczków duszonych!"

Słowa te powtarzał do ostatniej chwili, w sumie coś około — ze trzydzieści dwa razy.

Dziś te jego ostatnie słowa brzmią dla nas jak nakaz, jak testament. Niechże więc z tych łamów dotrą i do chat pod strzechę i do domów pod blachą cynkową czy dachówką.

Cześć jego świetlanej pamięci!"

J. H.

Skromna Miłosna, 27.2.1947 r.

CZTEROWIERSZE

TRAGICZNE DYSPROPORCJE

**Świat, mówią, naprzód ciągle idzie,
w uszach postępu gra nam nuta!
A w naszym domu — hańbo, wstydzie
od roku winda jest zepsuta!**

NA MAJORA PLEŚNIAKA

**Znów mi pan major się nie kłania
i, że nie widzi mnie, udaje.
Oto są skutki zakłamania,
niechże pochłonie gęsta mgła je!**

WESTCHNIENIE

**Ja mam na kartki nieco mąki
a krowy trawę żrą morową,
bo dla nich miedze, dla nich łąki...
Ach, jakże chciałbym zostać krową!**

ZAWCZEŚNIE, HALKO, ZAWCZEŚNIE...

**Ta Halka latek ma szesnaście
i już zgorszenie wokół sieje.
Jednemu mówi: światło zgaście,
drugiemu oczkiem śle nadzieję...**

PRÓBA PERSWAZJI

**A cóż dygnitarz? Człowiek przecie!
Tyle, że więcej może kłamie...
Ale tak samo trwa w klozecie
i otrzepuje z wapna ramię!**

KARTKA Z PAMIĘTNIKA

**Jak z cebra w nocy znowu lało,
więc chciałbym pisać smutne zwrotki,
liryczny żywioł drąży ciało—
lecz od papieru klucz u ciotki!**

DEZYDERAT

**To wszystkich zgodnie nas porusza,
bogacz się zżyma i ubogi:
kiedyż przestaną notariusza
wokoło cuchnąć brudne nogi!**

SŁOWA POGARDY

**Cholera jasna niech świat trzaśnie:
choć piszą wiersze takie fajne —
to przecież z Wyków*) nikt nie wrzaśnie,
że jestem Puszkin albo Heine!**

WINA I KARA CZYLI KICIA ROZPUSTNICA

**Och, i doczeka się łachudra
ta nasza Kicia za swą żądzę,
że nie pomoże nawet pudra,**)
że nie pomoże i leciądze...***)**

EXEGI MONUMENTUM...

**O, los mój wcale nie jest gorzki,
nie zczeznę w ziemi ja bez śladu:
zostanie po mnie krawat w groszki,
budyniu resztki od obiadu...**

*) Wyka — w botanice roślina z rodziny motylkowych. w Polsce występuje osiemnaście gatunków, jak np. wyka siewna, wyka kosmata, wyka zaroślowa, wyka leśna, wyka ptasia, wyka czteronasienna itd. Wyka — we współczesnej literaturze synonim krytyka; w Polsce przez analogię do botaniki, występuje również osiemnaście gatunków, jak np. wyka sandauerowata, wyka kubacka, wyka lichańska, wyka starowieyska, wyka matuszewska, wyka hoeroswka itd. (J.H.)

**) Pudra — zamiast „puder", które niestety, nie rymuje się ze słowem „łachudra"! (J.H.)

***) Leciądze — słowo zmyślone, śpiewne; powinno być „pomadka do ust" lecz wówczas nie zostałaby zachowana konieczna ilość zgłosek oraz rym do czwartego przypadku rzeczownika „żądza". (J. H.)



Rys Kazimierz Grus

STANISŁAW SOJECKI Ilustrowała REGINA KAŃSKA

PIEKŁO



Umarł w miasteczku człek zasłużony
Przeto wybito medal złocony,
Ażeby mąż ów został uczczony.

A na medalu napis był długi
Co nieboszczyka sławił zasługi
W dniu, gdy się na świat przenosił drugi.

Na grób upadły pochwały szumne
(W prasie starczyłyby na kolumnę!)
I położono medal na trumnę.

Ludzie rozeszli się na wsze strony
Dla świata obrzęd był zakończony —
Lecz odtąd cierpiał sam zasłużony.

Bo uprzytomnić trzeba nam sobie,
Że, gdy o własną chodzi osobę
Ciekawość żyje nawet za grobem.

W medal nieboszczyk wpił oczy szklane,
Bowiem chciał zdobyć dokładne dane
Co też na brązie jest napisane?

A, że się nie miał kogo zapytać,
Więc pnie się w górę, antab się chwyta
Żeby koniecznie napis przeczytać.

Po śmierci próżność nasycić chciałby
I satysfakcję niemałą miałby
I potem może spokojnie spałby.

Lecz gdy się podniósł pod samo wieko
I ode brązu był niedaleko —
Jakież się straszne zaczęło piekło!

O mało z suchej nie wyiazł skóry,
O mało po raz nie umarł wtóry,
Bo medal leżał tekstem do góry!

Odtąd nie zazna facet spokoju
Mimo, że kwiaty grób jego stroją —
Tak mu wypadek ów strasznie dojął.

Przechodniu — życia trudem zmęczony —
Gdyć się spoczynek śni zasłużony —
Pomnij, że medal miewa dwie strony.

NA POCZCIE

Przyznam się, że doznaję uczucia lęku, kiedy przestępuję progi głównego urzędu pocztowego w naszym mieście.

Jakżeż szalenie skomplikowaną jest sprawa wysłania skromnej karty pocztowej. Podchodzę do okienka:

— Proszę o kartę ze znaczkiem, jako polecona.

— Nie mam takich znaczków.

— Jakto, niema pani?

— Nie mam i już...

A więc w takim razie wyślę kartę poleconą — express.

— Kiedy nie wiem, wiele to kosztuje.

Szkoda gadać. — odchodzę do innego okienka. Stoi tam ogonek z kilkunastu osób. Posuwa się naprzód bardzo powoli. Wreszcie mój poprzednik zaciekawiony zbliża się do okienka. Po chwili wraca:

— Wyobraź pan sobie, ona rozcina znaczki żyletką.

— Niemożliwe!

Sam podchodzę do okienka i słyszę taką rozmowę:

— Ależ to barbarzyństwo! — denerwuje się zaperzony pan — To trwa dziesięc razy wolniej niż nożyczkami. Gdzie pani ma nożyczki?

— A czy ja wiem... Ktoś zabrał...

— Ach ty zaklęta królewno! Żebyś całe życie siedzała w tym okienku! Żebyś ślubnego męża nie zaznała!

Przy okienku okazuje się, że na kartę express-polecony nalepia się aż pięć znaczków, które niemal całkowicie pokrywają powierzchnię karty, tak że nie pozostaje już miejsca na napisanie adresu. Próbuję je nakleić, ale mi się to nie udaje, bo kleju na nich jak kot napłakał. W okienku stoi wprawdzie miseczka z klejem, ale niema patyczka.

— Przepraszam. Czy nie mógłbym panią prosić o patyczek?

— Nie mam.

— Powinna się pani o to postarać. Wie pani przecież, że znaczki przylepia się na poczcie.

— Już mi dzisiaj dwa ukradli.

— Kto ukradł

— Publika. Smaruj pan palcem.

Paskudzę palcem. Kochana poczta!

— Jak prędko będzie ten express w Warszawie?

— Czy ja wiem...

— Powinna pani wiedzieć.

— Nie chcę pana oszukiwać. Nie wiadomo.

Jestem wzruszony jej szczerością. Ma rację. Jeden z moich poleconych expressów szedł do Warszawy pięć dni.

— Niech mi pani nie daje reszty znaczkami, bo nie mam ich gdzie chować.

— Nie mam drobnych.

— To nie chcę reszty. Niech pani sobie uzbiera posag.

Po tym wszystkim dopiero uzyskałem kartę ze znaczkami.

Siadam na ławce i zaczynam pisać. Koło mnie rozwalił się jakiś starszy jegomość, jak widać już po paru kieliszkach Zwraca się do mnie bez ceregieli:

— Niech mi pan powie... Pan, człowiek inteligentny... nosi pan okulary... Jak to może być? Pociąg z Łodzi do Warszawy idzie cztery godziny, a list przychodzi dopiero po czterech dniach. Niech mi pan powie, co oni z nim robią? Nie rozumiem... Zupełnie nie rozumiem...

Pomimo iż noszę okulary, inteligencja moja również nie jest w stanie tego pojąć — oddaję się więc pilnie pisaniu karty. Starszy pan niezrażony ciągnie dalej swój monolog:

— Nie rozumiem... Na zwykłą kartę trzeba nalepić trzy znaczki. A znaczki takiej wielkości! A mówią, że brak papieru. Przecież i klej kosztuje. Niech mi pan powie, poco im takie ogromne znaczki?

— Moim zdaniem są jeszcze trochę za małe...

— Za małe?

— Powinny być ciut ciut większe. Moglibyśmy wtedy wieszać je na ścianie zamiast landszaftów, czy innych oleodruków. Pomyśl pan, za trzy złote będziesz pan miał na ścianie zwaloną Warszawę, albo za pięć zamek w Będzinie. Toż za bezcen. A do wielu innych celów nadawałyby się takie znaczki! Chcesz pan wysłać komu powinszowanie na święta, nie potrzebujesz kupować widokówki. Piszesz pan na drugiej stronie znaczka i jazda. Albo jako lep na muchy: Moczysz pan i stawiasz na stole, albo do zalepiania rozbitej szyby. Albo możesz pan teściową z pyskiem od ucha do ucha. Zalepiasz pa jej takim znaczkiem gębę i cisza.

Ale mój rozmówca już tego nie słyszał, spał bowiem snem sprawiedliwego z głową opartą o poręcz.

Szczęśliwy — pomyślałem — Uszedłszy w tęczowy kraj snów, nie czuje cierpień doczesnego świata. I trzeci raz stanąłem w ogonku, aby nadać nieszczęsną kartę z pięcioma znaczkami.

Wł. S.



Rys. Zbigniew Kiulin

— Gdzieś ty, widział Felek, aby tacy jak ty nosili monokl?
— Jakto gdzie? W więzieniu!



Rys. Zbigniew Kiulin

— Ziuta, nie wyprowadzaj mnie z równowagi!

KAROL KOWALSKI

AMULET

Wiśniewskiego spotkałem zupełnie niespodziewanie. Piłem przy bufecie małe piwko, gdy nagle usłyszałem znajomy gruby głos:

— Jedną większą i kanapka z łososiem!

Obejrzałem się. Tak! To był Wiśniewski!

Wiśniewski cofnął się o krok i zawołał ze szczerą radością:

— Pan Karol! Jak Boga kocham!

— Pan Wiśniewski! — zawołałem ze zdumieniem. Kopę lat!..

— A kopę, kopę! Kiedy to widzieliśmy się ostatni raz? Chyba w czterdziestym pierwszym w Warszawie?

— Albo w drugim! — poprawiłem — Pan był wtedy woźnym w przedsiębiorstwie przewozowym...

Pan Wiśniewski zarumienił się z lekka.

— Tssss... Po co tak głośno?... Okupacja — okupacją. Różne rzeczy się robiło! Aby wroga oszukać i przetrwać, panie, przetrwać!

— Rozumiem. Ale pan doskonale wygląda!

— Nieźle. Powiedzieć nie można! Bo pan, to chudo, chudo...

— No, cóż? Literatom nie wiedzie się szczególnie. Ale za to pan, panie Wiśniewski, wygląda znakomicie! Co pan porabia?

— Mnie się też zbyt dobrze nie powodziło — wyznał pan Wiśniewski — dopiero, jak znalazłem ten amulet...

— Amulet?...

— A tak! Na Ziemiach Odzyskanych!

— Aha... Pewnie pan jeździł na szaberek?

— Uchowaj Boże! Ale czegoż tak stoimy? Może usiądziemy? O, tu... Hej, panie starszy — dwie z gorzką i jakieś kanapki! Tak... O suchym gardle trudno rozmawiać... Strasznie się cieszę, że pana szanownego spotkałem! Po tylu latach!

— Ja też się cieszę — zapewniłem. — Ale miał mi pan opowiedzieć o tym amulecie, który panu przyniósł szczęście...

— O, właśnie! To było tak. Zaraz po odzyskaniu wolności, kiedy już ziemie piastowskie były nasze, szwagier powiada do mnie: „Zenek, było nie było! Jedziemy na Zachód!"

— Ach, więc jednak na szaber?...

— Skąd znowu? Ot, tak tylko — żeby zobaczyć. Turystyczna wycieczka. Szwagier, trzeba panu wiedzieć, pracował w jednej firmie państwowej i samochód zawsze mógł wykombinować.

— Rozumiem.

— Więc pojechaliśmy. Przyjeżdżamy do Wrocławia... No, ale napijemy się. Cyk! Żeby nasze dzieci miały zamożnych przodków!

— Najlepszego! Więc przyjeżdżacie do Wrocławia?

— Tak jest. Przyjeżdżamy — i tu właśnie znalazłem ten amulet! I wie pan, co to było?

— Pojęcia nie mam!

— Zwyczajny kawałek szkła! I to mi przyniosło szczęście!

— Czy możliwe? Zwyczajny kawałek szkła?

— Tak jest. Tylko, że rżnięty. Takie szkło nazywają, zdaje się kryształem.

— Ach, więc to był kryształ? Kawałek kryształu?

— Tak, kawałek kryształu w kształcie wazonu...

— Hm, więc wazon kryształowy!

— Owszem. Nawet oprawiony w srebro.

— No, to dosyć cenny amulet... Wiśniewski skrzywił się.

— Jaki tam cenny! I tysiąca wtedy by nie dali! Tylko, wie pan, ten interes stał na fortepianie. I właśnie ładnie wyglądał na tym meblu. Uroczo! Dlatego wpadł mi w oko! Więc postanowiłem wziąć go razem z fortepianem!

— Rozumiem...

— Ale kiedy już ten mebel ustawiłem na samochodzie szwagra, myślę sobie „Zenek! Właściwie kto u ciebie gra na fortepianie? Nikt! O wiele lepiej byś zrobił, gdybyś postarał się o radio!" I patrz pan, co za traf! W drugim pokoju stało radio...

— Aha. Stało?

— Tak! Jak byk! I ośmiolampowe. Słowo daję! Więc wziąłem i to radio.

— Tak...

— I uważa pan, ten odbiorniczek stał na takiej szafeczce. Nie na stoliku jak to zwykle bywa, ale właśnie na takiej szafeczce...

— Co pan mówi?

— To, co pan słyszy. Więc zajrzałem do tej szafeczki.

— I co pan znalazł?

— Szkatułkę.

— Żelazną?

— Z ust mi pan to wyjął. Żelazna! Była zamknięta. Ani tak, ani tak nie dasz rady otworzyć. Więc wziąłem siekierkę i ciach — ciach parę razy!

— Dała się otworzyć?

— A jakże by inaczej? Dała. Myślałem sobie, że pewnie zawiera jakieś listy. Chciałem się dowiedzieć, o czym szkopi do siebie pisywali w tym czasie, kiedy myśleli, że są panami świata!

— To pan tak właściwie ze względów politycznych chciał tę szkatułkę otworzyć?

— O, właśnie!

— I co pan znalazł?

— Wie pan — rzecz dziwna: dolary!

— Miękkie czy twarde?

— Mieszane. Trochę takich, trochę takich. Szwagrowi, rzecz jasna, słowa nie pisnąłem. Potem, to już nawet się nie rozglądałem po tym mieszkaniu. Pal sześć! — myślę sobie. Szabrownikiem nie jestem przecież! Szwagier jednak dorzucił jeszcze szafę i maszynę do szycia — i jazda. Pojechaliśmy!

Wiśniewski pomyślał chwilę i rzekł z przekonaniem:

— A potem człowiek zabrał się solidnie do pracy, założyło się dwa sklepy i teraz idzie jako tako. A wszystko — uczciwa droga. Nie tak, jak inni, szabrem!

— Ale jednak pan zabrał parę rzeczy — powiedziałem surowo.

Wiśniewski uśmiechnął się niewinnie.

— Cóż? Amulet — wolno. Zwykłe szkiełko! Drobiazg. Grunt, że szkiełko przyniosło szczęście. A są tacy, co w amulety nie wierzą! Idioci, proszę pana, idioci!

JAN CZARNY

FRASZKI

MĘŻOWI BRZYDKIEJ ŻONY

Gdy żona Ci przypnie rogi,
nie szukaj dowodów winy:
Zdejm z czoła rekwizyt zdrady
i przybij go do futryny...

Odrzuć precz myśli koszmarne
i jednym się faktem pocieszaj:
Żeś pozbył się brzydkiej żony,
zyskałeś zaś piękny wieszak...

NAUKA GEOGRAFII

Przyjacielowi — felietoniście

Uczyli mnie o Missouri,
Niagarze, Padzie, Limpopo
i z kuciem tych nazw związany
był zawsze niemały kłopot...

Dziś w myślach czasy te badam
i jestem bardzo zdziwiony:
Jak mogli w rejestrze wodnym
pominąć Twe felietony?!

TERRIER

Kupiłem sobie terriera,
Praktyczny psiak i niedrogi,
czyszczę nim buty, lichtarze
i froteruję podłogi...

Jeśli się kiedyś ożenię,
to ta, której sprzedam duszę
posiądzie sprytnego męża
i świetny do pudru puszek...

Z PRZYPOWIEŚCI

Miłość to przystań tajemna
o dwóch równoległych drogach:
Jedna z nich wiedzie do raju,
druga — do ...wenerologa.



Rys. Stanisław Cieloch

— Co za czasy, co za czasy, człowiek nie może związać końca z końcem...



Rys. Alinka

— Pamiętaj, nie omyl się: ja damę, ty — psa!



Rys. Jan Lenica

Zemsta



Rys. Alinka

— Obywatelu, gospodarzu, gratuluję: przydzielono wam konia!

Listy do Redakcji

P. Kwiatkowska w przekroju

W ostatnim (98) numerze tygodnika „Przekrój" widziałem (i to wcale nie w dziale filatelistycznym) dwa znaczki pocztowe z podobizną p. Kwiatkowskiej. Jeden z tych znaczków wygląda tak: u góry napis: Poczta Polska — niżej czupryna, potem twarz, niżej gołe lewe ramię, jeszcze niżej, na dalszym planie— prawe gołe ramię. Pod tym obnażeniem: Kraków i 7 kotów.

Obok znaczków jest list do Pana Ministra Poczt i Telegrafów. List kończy się tak:

„Ministerstwo Poczt zwykło wydawać znaczki na pamiątkę jakichś niecodziennych wydarzeń. Uważam, że występy p. Kwiatkowskiej w „Siedmiu Kotach" zasługują w pełni na upamiętnienie".

Wprawdzie my tu w Łodzi nie orientujemy się tak bardzo w krakowskich „niecodziennych wydarzeniach" i (co za wstyd!) nie wiemy nawet kto to jest p. Kwiatkowska, niemniej jeżeli „Przekrój" (J. W-ff) twierdzi, że p. Kwiatkowska zasługuje na upamiętnienie, to zasługuje.

Jedno nam się tylko nie podoba. „Przekrój" dał wprawdzie próbkę śmiałości projektu (Poczta Polska i gołe ramiona), lecz nam to nie wystarcza. Jeżeli p. Kwiatkowska ma być upamiętniona, to niech będzie upamiętniona należycie. Dlaczego li tylko na malutkim znaczku pocztowym? Czy p. Kwiatkowska jest tylko dla kolekcjonerów - filatelistów? Wara! Trzeba, aby p. Kwiatkowska zdobyła szerszy rynek. Co jest, do siedmiu wściekłych kotów! Jak rozmach, to rozmach!

Ostatnio prasa doniosła, iż mennica państwowa przygotowuje się do bicia monet m. in. 10-złotowych. Co za wspaniała okazja.. Jazda z p. Kwiatkowską na monetę! Mogła przed wojną figurować na monecie panna z kłosami, może po wojnie figurować p. Kwiatkowska. Niechże p. Kwiatkowska zabłądzi pod strzechy do rąk polskiego chłopca, do jasnych poddaszy polskiego robotnika, do salonów polskiego inteligenta.

Dziw, że „Przekrój" taką sposobność przegapił. Ale jest jeszcze pora! Śpieszmy się, by nas nie ubiegł jakiś grafik z jakimś błahym fragmentem Zamku Królewskiego, Kolumny Zygmunta, nowoodbudowanego Sejmu czy t.p. Ma być p. Kwiatkowska! I to nie p. Kwiatkowska o dwóch tylko gołych ramionach. Trzeba pokazać całe (gołe) „plecy"!

Waluta nabierze ceny. Będą bić się o nią zagranicą. W ten sposób p. Kwiatkowska spełni czyn o znaczeniu ogólnopaństwowym.

A. p. J. W-ff za znakomity pomysł winien otrzymać specjalny odznaczek. W tym wypadku na miejscu będzie projekt znaczka z „Przekroju". Z p. Kwiatkowską. A „Przekrój"? Zasłużył na naprawdę szczere gratulacje.

SYLWESTER BARYCZKA

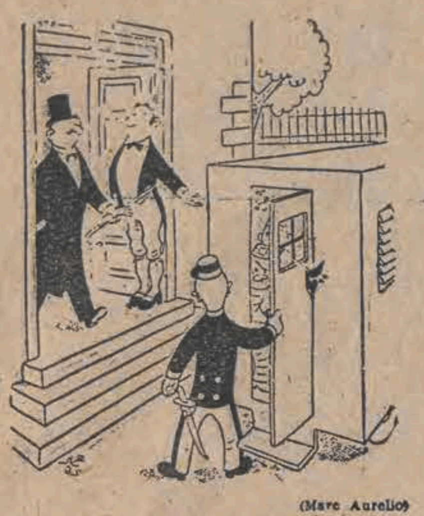
Od Redakcji. Zwracamy uwagę naszemu korespondentowi, iż w tytule „P. Kwiatkowska w przekroju" popełnił błąd. „Przekrój" pisze się w cudzysłowie i z dużej litery. Co dla uniknięcia nieporozumień, niniejszym protestujemy.

P. S. Kolejno drukować będziemy dalsze listy do Redakcji. Oczywiście już nie w sprawie p. Kwiatkowskiej.

„ŹRÓDŁO NATCHNIENIA" czyli figle ob. Guyskiego

Ob. Guyski (Ewald, Warszawa, Saska Kępa) nadesłał nam dwa rysunki, które zamieściliśmy w Nr 27 „Rózeg". W związku z powyższym otrzymaliśmy od przyjaciół naszego pisma wycinki z tygodnika „Marc Aurelio" i „Rey". Reprodukujemy poniżej rysunki ob. Guyskiego, obok w/w wycinków, pozostawiając odpowiedzi czytelników dręczące nas pytanie: potrafi ob. Guyski kopiować, czy nie?

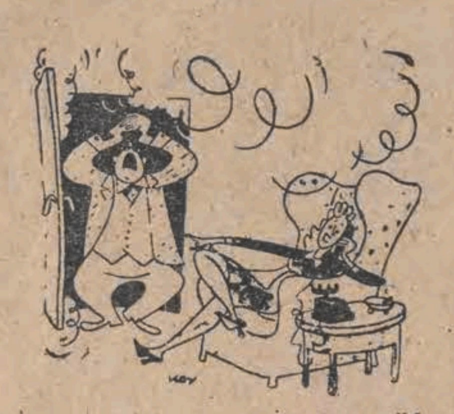




(Marc Aurelio)

Der unerschütterliche Diener — „Herr Baron, bitte, der Wagen steht bereit!"





Key

Wenn Vater die Feuerwehr anrufen will. — „Wir müssen jetzt Schluß machen Erich! Vater braucht 'gend das Telephon!"

MIĘDZY NAMI

„RENI" (GLIWICE). Pisze Pani: „jestem stałą czytelniczką „Rózeg", czytam je od deski do deski i zawsze znajduję coś, co mnie rozweseli..." Tym razem znajdzie Pani dla odmiany na naszych deskach coś, co Panią zmartwi: mianowicie odpowiedź, że z „Przykrego snu Schuhmachera" albo „Niewinnej pomyłki Belzebuba" czyli „Reportażu w formie sztuczki" — nie skorzystamy. Czekamy z niecierpliwością na „rzeczy lepsze i bez błędów".

„WUE" WARSZAWA). Utwór Pański — przyznajemy szczerze — napędził nam stracha. No, bo jakże: „o zmroku wsiał szatan z ukrycia i w nocy świat on pogrążył, nad polami, nad chatami naprzód, on dążył". Dlatego też, gdy dojechaliśmy do ostatniej zwrotki (tej o siarce piekielnej) skorzystaliśmy z rozkazu: „hej podrzucaj więcej smoły, niechaj ogień płonie jasny" i spaliliśmy wiersz w popielniczce redakcyjnej, odczyniając przy tym, naturalnie, przepisane zwyczajem uroki.

„A. Ż." (ŁÓDŹ). Oko posiada Szan. Pan, jak to się mówi, sokole, tym niemniej uszło Pańskiej uwagi, iż seria plażowa Grusa rozgrywa się w lecie, a narciarska — zimą, przyczym każda seria zawiera spostrzeżenia rysunkowe.

„W. Z." (KIELCE), „Przed sędzią śledczym zeznaje jakiś jegomość łysy jak kolano: — a kiedy zobaczyłem to — mówi — wszystkie włosy stanęły mi dęba. Nam też się zdarzyło zupełnie to samo, co jegomościowi... przy czytaniu nadesłanych przez Pana dowcipów.

STACHEREK WŁADYSŁAW (ŁÓDŹ). Twierdzi Pan, że „najświetniejszą Cukiernią w Łodzi jest „Mocca", bo tam wszystko idzie od ręki i z kroku". Zważywszy, że nie próbowaliśmy „Mocci" ani od ręki ani z kroku, trudno nam pogodzić się z Pańską opinią. Poza tym za najświetniejszą Cukiernię w Łodzi uważamy „Fraszkę". P. S. Na wypadek gdyby Pan czuł się naszą odpowiedzią dotknięty, pozwalamy sobie Pana pocieszyć Jego własnym wierszykiem: „Zazdrosna jest baba babie, jak jej stary się gdzieś skrabie..."

„POLUS" (WARSZAWA). „Niefortunny list" — nomen omen.

Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański
„Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57.
D-012767
Wydaje: „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42.